Są jednak diamenty w popiele (2)

Bogdan Sobieszek: – Dlaczego w kanonie własnych filmów nie umieścił pan „Dwóch księżyców”? Jakie znaczenie mają dla pana po latach?

Andrzej Barański: – Ten mój kanon to filmy dziejące się w małym miasteczku i w czasach PRL. I jeszcze mógłbym dodać: filmy, które zapisały mi się na skórze – byłem częścią ich świata. Natomiast „Dwa księżyce” to historie zasłyszane. Dlatego, że na ten film złożyła się nie tylko Kuncewiczowa, ale i opowieści moich rodziców i dalszej rodziny, opowieści o Polsce przedwojennej, która jak Atlantyda zniknęła. Tak jak do Kazimierza, tak i do Pińczowa zjeżdżali letnicy z Warszawy, z Zagłębia. Jeszcze po wojnie jakiś człowiek z tamtego towarzystwa na jeden dzień pojawił się w Pińczowie, zbiedniały, przegrany. Wracając do kanonu: to nie jest ranking moich najlepszych filmów. Ten kanon nazwałbym emblematycznym – po prostu chciałbym być spod takiego znaku. Uważam, że każdy artysta powinien mieć swoje miejsce na ziemi, taką swoją okolicę, swoją na wszystkich piętrach. W „Dwóch księżycach” lud wyśmiewa obieżyświatów. Dla reżysera taki film to piękna przygoda. Ważna jest nie tylko długość filmu, może nawet ważniejsza jest szerokość opowieści. Na planie miałem dziesiątki aktorów, dziesiątki pięknych obiektów i plenerów, przepiękne błyski egzystencji… Wiele osób uważa ten film za podzwonne dla Polski, której ton nadawała inteligencja.

Scenariusze są pańskimi adaptacjami mało znanych tekstów, czasem w ogóle nieznanych autorów (wyjątki to Maria Kuncewiczowa czy Michał Choromański). Dlaczego pan po nie sięgnął?

– Nawet jeśli wyjątkowo sięgnąłem po znane nazwisko, to utwór w dorobku pisarza był marginalny albo zupełnie nieznany. Ale przecież nie dlatego widziałem w tych książkach dobry materiał na film. Może litowałem się nad biedną książczyną podeptaną na podłodze w antykwariacie, będącą bez szans, że się ktoś nią zainteresuje? Może Freud by to wyjaśnił poprzez bajeczkę o Brzydkim Kaczątku? A poważnie, po prostu dokonywałem odkrycia. Poszerzałem pole literatury przydatnej dla filmu – inna sprawa, że nikt za mną nie podążał. Dla filmowca większą siłę przyciągania mają autorzy i tytuły głośne i gorące.

Często konstruuje pan opowieść, patrząc niejako z perspektywy „długiego trwania” na mikroświat pańskich bohaterów. Czy tak jak piszą krytycy, próbuje pan uchwycić porządek wszechrzeczy? Dlatego przygląda się pan zwyczajności?

– Szczególnie ceniłem książki autobiograficzne pisane w późnej jesieni życia. Miałem przed sobą całe życie autora. Coś takiego jak plan domu. Studiując taką książkę, rysowałem niby planiki kolejnych okresów życia autora. A kiedy było tego dużo, zawsze przychodził mi bezwiednie do głowy ceremoniał „urbi et orbi”. To jest fascynujące – całe już dokonane, zamknięte życie, a ja pochylam się nad nim, jak nad jakąś wojskową mapą życiowych działań tego człowieka. Czasami próbowałem bardzo uprościć ten plan, zamknąć go w jednej figurze. Nigdy nie zrobiłem tego od początku do końca. Dziwne, ale trochę się tego bałem. Te moje konstatacje nad życiem widzianym z „lotu ptaka” i wykonanym przez kreślarza planem miały też to do siebie, że sprawom małym przypisywałem wielkie znaczenie, wpływające na ważne zwroty życia bohatera. Tak zwane byle głupstwo decydowało o kawałku życia. Były to różne kpinki i moje złośliwości pod adresem czegoś takiego jak los. Na koniec wszystko darłem na drobne kawałki, żeby z tym skończyć, żeby przez dziwny przypadek.

Dalszy ciąg wywiadu można przeczytać w „Kalejdoskopie” 7-8/2018, który jest do kupienia w

informacji Łódzkiego Domu Kultury (wejście od ul. Traugutta), w salonach sieci Ruch, Saloników Prasowych, Kolportera, Garmond-Press oraz salonach Empik, dostępny także w prenumeracie:

https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-wojewodztwa-lodzkiego